



Mieczysław Lutczyk

część II z II

Sygnatura notacji: **N0545**

Data urodzenia: **29.07.1919 r.**

Data nagrania: **05.06.2012 r.**

Miejsce nagrania: **Konsulat Generalny RP, Toronto, Kanada**

Prowadząca/y rozmowę: **Zofia Kunert, Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **część I: 51 min, część II: 29 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Czyli w jakim stopniu wojskowym pan skończył wojnę?

Mieczysław Lutczyk: W stopniu plutonowego. Byłem dowódcą sekcji w oddziale rozpoznawczym. Muszę dodać, jak byliśmy we Francji, to generał Maczek, już wtenczas był awansowany, a że ja byłem osobistym jego gościem, on chciał, żebym poszedł na podchorążówkę. Odmówiłem mu, bo mówię: „Panie generale, Francja taka duża, wrócimy do Polski, to ja co ja będę tutaj, panie w wojsko się bawił”. I chciał mnie wziąć tak samo w Anglii, znów chciał mnie wziąć do dowództwa. Ja mówię: „Nie, panie generale. Ja idę na pierwszy ogień”. Dobrze, zgodził się. No i byłem właśnie w rozpoznawczym oddziale, w stopniu plutonowego, a dzisiaj jestem w stopniu kapitana. Z tym że nie wiem, jak się stało, bo są tutaj goście w Toronto, byli w tym samym czasie awansowani do stopnia podporucznika jak ja, dzisiaj są majorami, a ja jestem kapitanem. Pytam się pana pułkownika tego attachè w Ottawie, jak to jest, co oni zrobili? Bo ja uważam, że ci, co są odznaczeni tutaj na terenie Kanady, czy gdzie by to nie było, to powinni swoje resume i swoją, jak to mówią, pracę, co oni tu zrobili. Powinniście tego... Tu są ludzie, proszę panią, odznaczeni tymi samymi odznaczeniami, co on wódkę sprzedawał w barze. Ja, tutaj pani zobaczy moją pracę, co ja zrobił dla Polonii, dla Polski i Kanady. O, najwyższe odznaczenie. Musiałem się czymś okazać. Niech się który okaże, ile razy był w szkole, żeby zrobić jakiś referat albo jakieś przemówienie dla dzieci czy historię o polskim wojsku. Ja mam dowody, kwiaty, podziękowania, listy i tak dalej.

No tak to jest. A przepraszam, bo pan powiedział, że pan był w tym pułku, gdzie dowódcą był ten Koszucki.

Mieczysław Lutczyk: Tak.

A ja pamiętam, że on właśnie wyzwolił te kobiety w Oberlangen. Czy pan coś na ten temat może powiedzieć? Czy pan tam był?

Mieczysław Lutczyk: Nie, tam nie byłem, bo ja już proszę pani, byłem ranny.

A, to już było później. Tak, ale o tym troszkę proszę powiedzieć.

Mieczysław Lutczyk: To było tak. To, co ja wiem, bo jak się spotkałem z nimi, z kolegami, który tam był, bo ten Witek, który był na motocyklu, to ja go uczyłem jeździć na motocyklu. Wtedy on tam pojechał i czołg i Koszucki, tam pojechali, bo dostali od Holendra wiadomość, że tutaj są jakieś obozy, są kobiety. I on bez rozkazu, wie pani, generała Maczka, pojechał, rozbił tam tę bramę. Panie, dziewczyny patrzą się, co się dzieje. Tam parę było strzelanin, ale bardzo krótko. Ci uciekli, a ci niektórzy zostali, kobiety wleciały no i panie, szczęśliwe. Ale on dostał karę. Ale nikt nie wie, generał Maczek go usunął.

W tej bazie Wilhelmshaven już też pan nie był?

Mieczysław Lutczyk: Nie, nie byłem, nie byłem. Już tego, bo tu już byłem, pani, pracowałem w Anglii. Z tym że jak ja mówię... Ale potem co się stało? Też generał Anders też zrobił, wie pani, Maczka usunął go i wziął go na korpus. Po co ten korpus? Tam już korpusu nie potrzeba było. I nie był w Wilhelmshaven, tylko był Rudnicki generał. Odbierał, bo ja znam tę sprawę, proszę panią. A wracając do tych właśnie naszych kolegów, ja tu mam, pani pokażę. Był prezesem Stowarzyszenia I Dywizji Pancerniej. On już poszedł na ten świat, ale muszę wspomnieć. Píše, że był wyznaczony do premiera Kanady, do Francji, zwiedzać to i to. A ja mam dowody i zdjęcia, nie przeze mnie robione, przez jego osobistego fotografa i przysłane do mnie, jak ja mu asystowałem. A ten gość powiedział, że on był wyznaczony do premiera.

Tak to bywa. A proszę, jeszcze teraz wracając do spraw związanych z wojną. Czy jak się skończyła wojna, myślał pan w ogóle o tym, żeby wrócić do Polski, bo przecież tu w Polsce pan miał rodzinę.

Mieczysław Lutczyk: Oczywiście, że o tym myślałem, bo chciałem właśnie, jak to mówią, miałem prowadzić i zbudować sobie garaż. Z tą myślą właśnie byłem w broni pancerniej. Ale że potem... Aha, jeszcze musimy wrócić do tej sprawy, jak nas oszukali. Jak była, podpis, prawda, tego całego Stalin, Roosevelt i Churchill, podpisali, to Montgomery spotkał się z Maczkiem, generałem i mówi: Co pan sądzi i tak dalej. Bo on myślał, że może dywizja przestanie walczyć. A generał Maczek powiedział, że nie, my chcemy, jak to mówią Niemcy zdusić. My nie ważymy, co wyście z nami zrobili, idziemy dalej i tak dalej. I tak to wyszło, wie pani. A potem jak była znów ta cała uroczystość w Londynie, to samo, że Stalin sobie życzył, że polskie wojsko nie wolno, żeby brało. A tu jest kolega ten Ostrowski, major z lotnictwa, prawda, też, panie, jemu powinni dać największe odznaczenie polskie. Chłopak przyjeżdża z Brazylii

przez Argentynę do Anglii, żeby walczyć o Polskę. A tutaj, proszę panią, prezydenci dostają największe odznaczenia, co nic nie zrobili, bo sprzedali, taki Raczkiewicz. Moi alianci mnie atakują, żeby usunąć generała Sosabowskiego z I Brygady Spadochronowej. Jak sobie pani może pomyśleć, żeby taki prezydent słuchał kogoś, co ma robić ze swoim żołnierzem, któremu w każdej sekundzie śmierć zaglądała? To jest wszystko, widzi pani. I tak to było. W tym czasie mieliśmy to, że jak wojsko i Anders sprowadził Polaków z tych i wszyscy opowiadali, jak się Rosja opiekowała tymi Polakami, no to my, proszę panią, nie chcę użyć słów, jak my myśleli o nich i tak dalej. I powiedzieli, my nie wracamy. Oszukali nas, okłamali, a po drugie sprzedali do Stalina przez 40 lat. Polska była, pani jak to mówią, tego. I tutaj jak pani wspominałem przedtem, tę flagę rosyjską, jak syn pani powiedział im i tak dalej, że uciekł i tak dalej, bo chcieli pokazać tym uczniom, którzy uczyli się rosyjskiego języka, jak oni Europę oswobodzili, jak oni tego... A nie powiedzieli, jak oni kradli, jak oni się zachowywali z kobietami itd. No to było... I każdy jeden powiedział: Nie, musimy szukać drugiej ojczyzny.

I co zdecydowało o tym, że pan się znalazł w końcu w Kanadzie?

Mieczysław Lutczyk: W Kanadzie, z tym że jak ja pracowałem, jak wspominałem w tej szkole, po pięciu latach wszystko pięknie szło. Tylko jak przyszedł potem premier Anglii, dowódca, wszystkie szkoły prywatne pozamykał. Ja dostałem wiadomość, że szkoła się zamyka i mam wolną rękę. Przysłali mi podziękowanie, prezent. Więc w tym czasie czytam gazetę i szukam w ogłoszeniu, pani poszukuje kierowcę w Montrealu w Kanadzie. Dobra, napisałem list, ekspres przyszedł, bilet i tak dalej. Co się okazało? Dlaczego ona mnie sprowadziła? Bo ona chciała właśnie takiego żołnierza wojskowego i tak dalej, bo miała pięć córek i jednego syna, to była milionerka. Duże majątki ma w Montrealu. Ten syn zginął jako pilot nad Niemcami i w ten czas, prawda, jak ja przyjechałem, no to ona się wypytywała, jak tam było, jak, co i tak dalej, zawsze się interesowała. I mieli tak samo duże jezioro w Ameryce, bo męża miała Amerykanina, a z pochodzenia pochodziła Szkotka. No i miała też sentyment do Polaków, bo rodzina w Szkocji mieszkali i tak dalej. No jedno z drugim szło. Potem, jak już skończyło się, no to trzeba gdzieś pracować. No to pracowałem w największych firmach, proszę panią. Gillette, Kraft, Electric Aviation Company, która robi symulatory dla pilotów, żeby się uczyć jazdy. To było w Montrealu. W piekarni, fabryka mięsa, Pfaff, maszyny do szycia. Do młyna w młynie, proszę panią, pracowałem, zamiatałem trzy miesiące. I tak wyszedłem, że byłem na trzecią zmianę młynarzem. Tu w [niezrozumiałe] pani może mąkę kupuje. Jak w tego, tutaj ten w Montrealu. Ale po pewnym czasie wszystkie dziedziny przeszedłem, wie pani. I worki dźwigałem, i pakowałem mąkę, i do krajów, gdzie jest zimno, i do krajów, gdzie jest gorąco, trzeba było inne worki używać, żeby się nie zbryliła. Skończyłem to, prawda, zdałem, prowadziłem, przyszło. Mąka nie sprzyja mi. No, ale zawsze w moich palcach, wie pani, była śrubka, bo przecież skończyłem technikę wojskową i dostałem się do lotnictwa. Najpierw pracowałem w Canada Air, potem nie było dużo pracy, przyjechał gość z Edmontonu z Alberta i poszukiwał mechaników, bo samoloty przeszły z południowej Korei, jak się wojna skończyła i oni mieli kontrakt i szukał mechaników. Przyjechał, no ja tam się zgłosiłem, dał mi... blueprint, jak to mówią, i mówi: co to jest? Co to jest i jak to będzie budował? Jak pani – mówi – umie to czytać to powiem mu, że to jest tak, taka, taka, taka, taka, ten taki, bateria i taka śrubka, ok jedziemy. Tutaj za tydzień czasu przyjdiesz, jedziemy razem. Jechałem trzy dni i dwie noce. Sobie pani wyobraża, jaki to jest Kanada duża. No nic. Potem przyjechałem tam do Edmontonu. „Po polsku nie mów, tylko po angielsku”. „O, a dlaczego?” „A no bo tu formalnie tego. Od dzisiejszego dnia będziecie mówili jakim językiem chcecie.” I tak było. Po jakichś trzech dniach przychodzi ten gość, co mnie, prawda, zatrudnił.

No i „jak się czujesz, co tego?” „Wszystko w porządku, ładnie, pięknie.” Pracowało dwóch tam szwagrów, tam po braci. W międzyczasie ja zamieszkałem w hotelu, a ja gdzieś ich zapoznałem, bo oni tam pracowali, więc pokój miała teściowa i zamieszkałem właśnie tam u ich teściowej. A jak przyszło lato, to mówią do mnie: „Mietek, mamy problem”. „Co jest?” „Nie mamy ratownika”. „Co się przejmuje? Będę ratownikiem”. „No i dobrze, o no to fajno. No i przyszło lato, ratownik”. Od poniedziałku do... Już nie mieszkalem tam u teściowej, w sobotę i niedzielę, bo jak skończyliśmy pracę w piątek, to mnie zabierali, bo oni pracowali jakieś około 30 kilometrów, to mieli 100 akrów jeziora, wie pani, duża posiadłość. I pracowali i splotali te [niezrozumiałe]. A na środku tego, przy tym jeziorze był duży budynek, okna otwarte, lody, frytki, papierosy i tak dalej. No i ja miałem tam łódkę, wyposażenie było bardzo dobre i tak dalej. Piękne, słoneczne dni, wiaterek z tych gór Viktorii powiewał, ludzie się opalali, ale nieraz się bardzo źle opalali, no to przylatywali, ale miałem taki rozpryskiwacz bardzo dobry od opalenia. I tak to było, ale pewnego razu w sobotę przychodzą, widzę na koszułkach Edmonton Police, jakieś inne instytucje i tak dalej. No dobrze, no i witają mnie, ja ich witam, to i tak dalej. No i posiadali na piachu. I pytają mi się, jakie ja mam papiery. Ja im mówię: „Ze stoney wody czy ze stodkiej?” W momencie widzę, że się dziecko topi. I lecę, złapałem to dziecko, wziąłem za nóżki, bo wtedy woda wyleciała. Matka zawołała: „My God!” Leci: „Thank you”. Dziękuję. Już mi się nie pytali, tylko rozmawiali, że tu przyjeżdżają ich dzieci, żony i oni zawsze tu mówią, że tu jest [niezrozumiałe], lifeguard. No i tak to wszystko było i szło. Pewnego razu...

Czy same początki w Kanadzie, bo rozumiem, to był 1952 r. mniej więcej, jak pan przyjechał, tak?

Mieczysław Lutczyk: Do Kanady? 1953.

1953 r. Czy początki były dla pana łatwe, czy trudne?

Mieczysław Lutczyk: No łatwe. Łatwe, bo wie pani, miałem wszystko, wyżywienie i tego, i zajęcia, i raz z tą panią tu, tam, tego, że nie miałem problemu. Wszystko było fajno. I pewnego razu ojciec przynosi dziewczynkę, no może jakieś 10 lat. Bawiła się i przecięła piętę na szkle od Coca-Cola. I tak wisała ta pięta. Płaczę, a ja do niej: [dźwięk wydawany ustami] I przestała, bo była zainteresowana tym moim tego. Ja znałem, jak opatrunki robić, prawda? Złożyłem wszystko, mówię: „Jedź do szpitala, zrobią szwy, będzie w porządku”. Po dwóch tygodniach przyjechał zadowolony, podziękował itd. Drugi wypadek, robi kobieta frytki i wylewa cały ten gorący na tego. Takie bąble, wie pani. Dwóch mężczyzn przynosi do mojej łódki, no to ja miał ten, przyskacz taki, wie pani, [niezrozumiałe], żeby ją nie za tego i mówię: „Jedźcie do szpitala jak najprędzej”. No i pojechali. To takie miałem dwa wypadki, ale jak potem rozmawiałem z tymi, co mnie przyszli tutaj kontrolować, to były wypadki, tam się utopił, tam się utopił, prawda. Mówi, a tutaj wszystko w porządku. No i tak się stało. No przyszedł czas, koniec, wracam z powrotem do Montrealu. Pracowałem, przyjeżdża gość z Douglas, z Toronto, szuka mechaników. Ja znów się do niego zgłaszam, bo dlaczego? Dlatego, że chcę opuścić Montreal, bo tam znów [niezrozumiałe] chce się oderwać od Kanady. I walczy ten Francuz i tak dalej, mówię: „Tu nie ma życia”. I zmienia, że nie wolno, tylko wszystko ma być po francusku, to, tamto. I mówię, przyjechał na szczęście, tak samo spytał mnie to, to, to. Mówi: „Dobrze, jedziemy”. No i wyjechałem do Montrealu, zamieszkałem Montrealu i do Douglasa. Pracowałem pięć lat w Douglasie. A w tym, raczej w Douglasie nie 5 lat, tylko razem w lotnictwie 5 lat, bo dostałem pean taki, od prezydenta Montreal Lotnictwa, Canada Air, taki pean za moją

pracę, podziękowanie, a tutaj pracowałem 3 lata, z tym że moje rany zaczęły mi puchnąć, dokuczać no i komisje były. Miałem trzy komisje: Fabryczną, Work Compensation i Veteran Affair. To były trzy komisje. Powiedzieli, że już pracować nie będę mógł. No i Departament Veteran Affair pomógł mi kupić sklep. Taki na rogu, jak to mówią, variety store. A ja go nazywałem forgotten store. Jak zapomniałeś kupić cukier czy papierosy, czy chleb w dużym sklepie, to przyszedłeś do mnie kupić.

A czy po wojnie jeszcze jakąś tam z tej dywizji Maczka jakąś odprawę dostaliście żołnierze, czy w ogóle Brytyjczycy coś wypłacali, jakieś jeszcze wynagrodzenia, jakiś żołd?

Mieczysław Lutczyk: Ja mam, proszę panią, jakąś z punktu widzenia rentę. Mam rentę, ale ta renta tak wyszła, że musiała się moja sprawa o królową nawet dostać, bo nie zgadzałem się. W Anglii jak byłem, wszystko było w porządku. Dali mi pas, bo też mam plecy poharatane i tak dalej wszystko. Jak przyjechałem do Kanady, to jak ja mówiłem, że mnie tutaj boli, to nie, „Tu jesteś ranny, ale tu cię nie może boleć”. No to ja mu napisałem, to znaczy, że wy uważacie, że człowiek jest zbudowany z mięsa i z żelaza. Ale ja jestem tego. No i takie wojny szły, szły, wie pani, różne pisanie i tu, i tu, i potem do królowej. I wszystko było, że to nie jest ważne. No, ale co zrobić? W każdym razie tak wyszło, że musiałem zrobić poważny krok, proszę panią, że dzisiaj mam wszystko. Mam łóżko szpitalne, mam fotel, mam zęby państwowe, okulary, słuchawki, mam wózek elektryczny, mam taki walker, mam laskę, ale nie taką, tylko taką laskę służbową. Tamtej nie używam, tę używam. I co jeszcze? No, tak że...

Ale musiał się pan o to jakoś specjalnie starać, bo oni sami nie chcieli uznać tego.

Mieczysław Lutczyk: No, zawsze... Na przykład taki wypadek. Zęby miałem, parę wysunęli i tak dalej, że górną część, prawda, jest w porządku, dolną respektują. To wie pani, mam papier, czarno na białym i tak dalej. Uszy nie, bo to może cię boleć, ale to nie. Mam tu jeszcze kawałek odłamka, że mi łzy idą i tak dalej. To też, to jest dobrze, ale to nie. Tak było.

Dobrze, a teraz trochę coś innego. A kiedy po wojnie po raz pierwszy pojechał pan do Polski?

Mieczysław Lutczyk: Do wojny pojechałem, wie pani nawet? Kiedy to było? W sześćdziesiątym którymś roku do Kielc, tam trzeba było się zameldować. No i pojechałem, zameldowałem się. Był fajny gość, kapitan, w stopniu kapitana. No i pytał się o mnie, co słyhać, jak tutaj tego, prawda. Poczęstował mnie wódką, papierosem, tak. Porozmawialiśmy, ładnie. „I wie pan co, wracaj pan do Polski. Będziesz miał pan dobrą robotę, pracę, będziesz pan tego.” Ja mówię: „Widzi pan to? Tysiące takich macie. To znaczy, podatnik polski ma mnie utrzymywać? Anglia jest odpowiedzialna za mnie i oni mają mnie doglądać”. Podał rękę. Tak.

A potem jeszcze pan przyjeżdżał do Polski?

Mieczysław Lutczyk: O tak, tak, często byłem, tak. Byłem, jak Gutowski umarł, mój dowódca, bo potem po Koszucim właśnie Gutowski obrał dowództwo II Pułku Pancernego, ale ja już nie byłem, ale on był w II Pułku Pancernym.

To żeśmy przecież się spotykali w Toronto i tak dalej. To jak umarł, to pojechałem na pogrzeb, zrobiłem modlitwę, dałem dla biskupa, mówił, że tu pójdzie na... Jak on to się wyraził ten biskup – na eter, czy coś takiego. Potem jak umarł nasz sekretarz dywizji Dajmiel, byliśmy z żoną w Bielsku-Białej, też miałem taką modlitwę pożegnalną. Spotkałem się z dowódcą, który obrał po I Dywizji Pancерnej wszystkie te nasze przywileje. Dostałem odznaczenia, jestem członkiem w Warszawie I Dywizji Pancерnej, dostaję wszelkie wiadomości. Teraz jest rok Maczka, mam też wszystkie wiadomości, przesłali mi z Polski, gdzie się znajduje i gdzie obchodzą jego na przykład jego imieniem szkoła, czy ulica, czy jakiś pomnik tego, to w tym mieście się odbywa i mam wszystko dane, gdzie, co będzie się odbywało.

A rodzinę tam na miejscu, na Kielecczyźnie jeszcze Pan ma?

Mieczysław Lutczyk: Mam, w Kielcach mam bratanek, w Skarżysku-Kamiennej mam też bratanek i to wszystko. No i mam też bratanicę w Warszawie. To mamy takie kontakty.

A bracia wojnę przeżyli? Pana bracia wojnę przeżyli?

Mieczysław Lutczyk: Przeżyli, tak. Brat pracował na kolei, a ten był weterynarzem, no to go potrzebowali na ten. A tak to wszystko wymarło. Siostry, prawda, i tak dalej.

Ja jeszcze wrócę trochę do tych Węgiei. Powiedział pan w pewnym momencie, opowiadając, że tam temu Węgrowi, który pomagał, dał pan swojego visa. To znaczy, jak przekraczaliście granicę polsko-węgierską was nie rozbroili?

Mieczysław Lutczyk: Nie, zostawiali wszystko, czołgi i tego, ale żeby mnie szukali, albo coś mazali, to nie było tego. Jeszcze za moich lat, jeszcze jak przed wojną, to jeszcze pracowałem, wie pani, odrabiałem szarwark. Bo była taka przed wojną praca państwowa, że trzeba było coś dla kraju zrobić. Więc też się nazywał szarwark. Robili drogi, czy tam poszerzali drogę czy coś, nawet budowałem drogę od Skarżyska do Kielc. Takie kłady tego nazywali kocie łby. A potem dopiero asfalt, bo jak pani jechała tą furmanką, to mózg wyskakiwał, jak jechał tymi obręczami, kołami, koniem gość. Potem pracowałem przy inżynierach, trzymałem tę tablicę, oni mierzyli [niezrozumiałe] most albo coś takiego, no to pracowałem.

A jeszcze teraz o samym Wrześniu, bo pan powiedział, że wyście się tak wycofywali w stronę Bochni, Przeworska, Przemyśla i potem przez tę granicę. Czy pamięta pan wtedy, jaka była pana reakcja na wiadomość, że Sowieci wkroczyli? Bo przecież raczej się wszyscy spodziewali wojny z Niemcami, a nie z Sowietami.

Mieczysław Lutczyk: Nigdy, oczywiście. Reakcja była, to było tak. To było, proszę panią, było dowództwo, a szpital był, tam była szkoła ogrodnicza. Mam tam zapisane, nazwisko mi wyleciało tej miejscowości, blisko i tam była taka wioska i przy lampach były mapy i tam studiowali. I dostajemy właśnie w tym czasie, jak oni studiowali tę mapę, goniec przyjechał, że Rosja w nas uderzyła i wtenczas dostaliśmy rozkaz przyjeżdżania. Ale jeszcze pani muszę powiedzieć,

że w historii polskiego wojska dopiero pierwszy raz, żeby podoficer był na zebraniach oficerów. Ja proszę panią, jak w Krakowie był Maczek, robił spotkania, ja byłem jego osobistym gościem, to mnie nie wyrzucili, ale oni mnie wołali, żebym ja tam był, a nie wolno mnie było powiedzieć, dowódcy mojemu, co tam było. O, Zdzisław Ziemiński był moim dowódcą. Nie można tego, ja myślę tego. I to, to było w historii, że nie może być. A ja właśnie od starszego szewca do stopnia kapitana doszedłem. Ale ja jak wspominałem, to... A teraz dopiero otrzymałem wiadomość z Warszawy, że jestem przestawiony na majora. General? Wspaniały człowiek był, ale wymagający. Tak samo Koszucki, jak my szli na front, „Dzisiaj nie ma stopni, jestem Stanisław, ale rozkazy mają być wykonane”. Tak samo i Maczek, był wspaniały gość, taki przystępny, nie dał się, żeby się tam odpychał, że co to on jest albo coś takiego. Był bardzo, bardzo fajny gość.